

Dolska walcząca o wolność

(ss): Atak na „tylną pozycję kapitalistycznego obozu”
SIGMA: Bunt opinii francuskiej
STR. GLINGA: Wojna, polityka i moralność (II)
(A.T.): Bruening o stanowisku Pol-
 ski wobec Hitlera
WUJ TEOFIL: Zubr potęgą jest i
 basta (Pocztówka z Hyde Par-
 ku)
K.A.: Amsterdamski zjazd filozofów
 (o): Życie kulturalne w kraju i na
 zagranicą
M.C.: Dom w wart Paryżu, a kombatan-
 ci Domu
TABU: Wieczna troska i wieczne
 zmartwienie
A. STPICKZYŃSKI: „Cholerny świat”
 (zakochanie)
(L.): Prasa zagraniczna o Polsce
 (Migawki)

Należy więc sprowadzić do właściwej miary znaczenie demonstracji berlińskiej — i to zwłaszcza jej znaczenie jako wyrazu niemieckiej polityki antyrosyjskiej — i nie pozwolić się omamić bardzo przemysłanej celowej propagandzie, którą niektóre czynniki naokoło tych wydarzeń rozpętały.

DOM WART PARYŻA A KOMBATANCI DOMU

Bajonśki Jan, syn Józefa, w mundurze, pocztówka, karta (AM 2568)

Bakoń Julian, w mundurze, pocztówki, karty z księgięczkami (AM 1893), pocztówka z nadawcą Michał Bakoń, Sanok Kościuszki 5 (WO 1895 str. 28). pchor. rez., 1917, 20 p. ula-wy (LZK)

Bakula Stanisław, por., 1 kartka z ofic. ks wojsk., kartki z za-kamkami, karta szczep. 1334 (AM 1851)

Balcer Kazimierz, ppor. (LZK)

Balinger Anton Witold, mjr. ur. 13.6.86, dwie leg. osob. karta szczep. 3596, pismo Min. Spr. Wojsk., wizytówka, 3 kartki z za-kamkami (AM 300), mjr. st. p. (LZK)

Balko Antoni, mjr. karta szczep. leg. LOPP, pocztówka (AM 173), mjr. 189, s. Stanisław i Anny (LZK)

Balon Tadeusz, w mundurze, ks. wojsk., karta szczep., leg. jedn. (AM 1407), por. rez., 30 lat (LZK)

Balachowski Witold por., częśc leg. odznacz., 2 zaśw. wojsko-ko., list, karta szczep (AM 4115), por. (bez imienia) — (LZK)

Baldowski Wincenty strz. piech., 1914 (LZK)

Balbaban Karol, Dr med., kpt., 2 listy, 2 pocztówki, karta szczep. 2229, 2 wizytówki, okulary (AM 905)

Banach Czesław, oficer (LZK)

Banach Eugeniusz (Kamich) zam. Lwów, ul. Wąska 8 (WO 19 str. 19), w mundurze (bez nazwiska), karta z adresami, 2 dakliki (AM 839)

Banach Tadeusz, ppor., karta mobil., 1 przepustka, karta sta-jazdy, zaśw. z 8. p.p., listy, kalend. kieszonkowy (AM 1486)

Banasiewicz Teodor, por. rez. piech., urzędnik PKP Ostrow ZK)

Banaszuk Stanisław, adwokat, ks. oszcz. PKO., części dowo-oso., wizytówka, listy, karta szczenięcia (AM 1209) (WO 19 str. 15), por. rez. piech. Kępno, adwokat (LZK)

Banawski Józef, kpt., wizytówki, karta na broń, fotografia, gromek kieszonkowy (AM 1723)

Banaszewski Władysław, ppor., prawo jazdy z Warszawy, kar-szczep. 3555, kwit (AM 518)

Bandt por. (LZK)

Bana Józef Kazimierz, policjant, 39 lat, s. Rozalii, Czortków ZK)

Bandurek Michał, pchor., znak tożs., 1 rosyjska gazeta z 3. 1910, 100 rub. dwie odznaki pułkowe (AM 1724)

Baniewicz Henryk, pchor., ur. 25.10.909 w Petersburgu, dowód ob., listy, fotografie (AM 3470)

Banikowski st. post. PP. (LZK)

Banikowski Bogdan znak tożs. z napisem: 198/34 Wilno Mias-1910, 2 kalendarzyki kieszonkowe (AM 184), Roman (WO 5)

Banikowski Czesław, por., 1905, s. Karola i Bronisławy (LZK)

Banikowski Roman, (AM 146), odznaczono pocztówkę (WO 4)

Banikowski Zygmunt, por. (LZK)

Barabasz Józef, Barabasz, pchor., leg. urzęd. państw., 1 poczt-wka karta szczep., 1 list, orzełek polski (AM 544), Barabasz (WO 7 str. 8)

Baran Bronisław, ppor., leg. szkolna, notatnik, świad. Uniw. warsz., różne świadectwa, części dowodu osob., 1 medalik (AM 382), por. art. plot., 1910, s. Jana i Józefy, Łódź (LZK)

Baran Kazimierz, pchor., 1921, 5. p. (LZK)

Baraniecki Kazimierz, por., leg. Virtuti Militari, medalik, 1 t (AM 150), ppor., Baranowski (WO str. 8), Baraniecki — por., tch., 1901, 87, p.p., Poznań (LZK)

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER SPICZYŃSKI

CHOLERNY ŚWIAT (15)

POWIEŚĆ

Październikowy wieczór bije deszczem o szyby zaciemnionych okien. Francja ułaga się do snu. Snu zakospirowanego, pełnego niepokoju, snu, w którym czuwa się i słucha, czy nie serwie ci-
szy nóg warkot motoru na ulicy, co oznaczać może śmierć.
Siedzą przy stole. Zielony klosz lampy rzuca przyciemne światło. Dochodzi 6.00. Henri otwiera Emmerzona.
Henri Dercourt — to lotnik francuski, teraz komendant zakospirowanego lotniska. Emmerzon — to niewielkie ebonito-
we pudełko, wystarczy podnieść wieczko i tam się w nim cały świat.

Właśnie zamarył ostatnie taktę jakiejś melodii i teraz wry-
wają się w ciszę pokójki szybkie, miarowe uderzenia bębna.

— I ci Londres...

To komunikat wieczorny z Londynu po francusku. Henri

przyciska aparat, pochyla się głową, wpatruje w czarodziejską

skrzynkę.

Ale nie komunikat nas interesuje. Od tygodnia codziennie

o tej porze czekamy, kiedy Maurice się umyje. Ale od tygodnia

Messages Personnelles podają, że — „Maurice est toujours sale”.

Tkwiący już tydzień w podmiejskim domku małego village,

gdzieś pod Tours, bo to niedaleko, może jakiś kilometr, jest kawał

łaki, na której wylądował samolot i zabierze mnie do

Anglii. To trochę — mam nadzieję, ostatni etap mojej podróży.

Ale to będzie, jak Maurice się umyje, na razie, nie zasłowi się

na to. Przez cały czas mego pobytu deszcz leje prawie bez przerwy.

brudna, październikowa pogoda.

Płyną z pudełka ostatnie wiadomości. Na końcu Messages

Personnelles — jakies zwroty, na pozór bez sensu, zdania, dowci-
piny...

I nagłe...

Message très important pour Claude, message très im-
portant pour Claude — Maurice va faire sa toilette pour ce

soir...

A więc nareszcie dzisiaj Maurice się umyje. Spoglądam na

kalendary wiszący pod zegarem. To już kalendarz drukowany,

mój ostatni został na desce łóżka pod opieką Antonia.

Dzisiaj — sobota, 16 października.

Henri uśmiecha się do mnie i zamyka pudełko. Wychodzi na

dwór rzuć okiem na niebo. Czarna sklejona chmura, ciemno i

głęboko. Nie będzie mi się chce wstać, by przy takiej

poradzie lotnik przyleciał, ale Henri nie podziela moich wątpli-
wości. Jest pełne radośnej dumy, która kurzy mu się wprost

z jasnej czupryny.

Siadamy do kolacji — ostatniej dla mnie kolacji pod wszech-
władną tu swastyką. Henri stuka się do mnie szklanką wina.

Jutro rano w Londynie na ulicy kwitnie pan na taksówkę i

pojedzie pan do Hyde Parku.

Taksówka! Magiczne słowo! Kiedyż to się jeździło takim po-
jazdem? Przypominam sobie Kuzia, jak wierzeli mi dziurę w bzu-
chu, kiedy dawał mi na pachoć po Paryżu.

— Masz szczęście, psiarew, zadowolę ci. Kwińskiś pal-
cem w Londynie i siadasz do taksówki, ale najbardziej zadowolę

ci że nareszcie wypiszę się, ragniesz się do łóżka i będziesz

miał tę pełnową, tę mrurowaną pełnową, że nikt w nocy po ciebie

nie przyjdzie. Możesz spać na obu oczach i niech się świat

wali — nie cię nie obchodzi. Zebym choć jedną noc mógł tak się

przebrać...

Mijały szybko ostatnie godziny. Henri kończy jeszcze ra-
pory, które mam zabrać i ogarniają mnie, co pamiętam co

mam robić z chwilą, gdy znajdzie się już w maszynie.

Wreszcie jedenaście. Wychodzimy na lotnisko. Idziemy na
przelaz przez jakieś płoty, krzaki, rowy. Pada deszcz i ciemność
nieprzenikniona. Ledwo rozróżniam sylwetkę idącego na
krok przede mną Dercourta. Wychodzimy w końcu na łęk, co
można poznać po tym tylko, że już nie płaczą się nogi w gałę-
ziach i nie wpada się do rowów. Ja szczerzyłem wyraźnie odu-
waniem różnicę w terenie z moją sylwetką i bojącą nogą. Przekleły
wzrost daję mi się we znaki. Nie było już czasu na operację w Pa-
ryżu.

— To tutaj — mówi Henri — powinien niedługo być.

Nie widzę nic. Wokół czarna mroźna noc. Henri na trzech

komunikat. Gdy wychodziliśmy z domu zabrali każdy po dwie

lataarki elektryczne, zwykłe małe kieszonkowe lataarki.

— Gdzie stoją reflektory? — pytam.

— Nie ma żadnych reflektorów, to lataarki wystarczą.

Nie mówię mi, ale zaczynam mocno tracić zaufanie do całej

imprezy. Bo jeżeli ja, stojąc na ziemi, prawie nie widzę co ma

pod nogami, to jakże — u licha — pilot z samolotu zobaczy, gdzie

trzeba lądować?

Deszcz pada bez przerwy, woda zaczyna chlupać pod noga-
mi i leje się za koberce Henri roznosi gdzieś swoich pomaga-
ców, którzy nikną w ciemnościach.

Coraz bardziej staje się dla mnie jasnym, że na taką pogodę

lotnik przylecieć nie może. Jeśli nawet przyleci, to jakimże cu-
dem trafi na naszą łęk? Bo żeby choć były reflektory, można

by na krótką chwilę zapalić — w tej zapadłej dziurze i tak nikt

nie zobaczy.

Jestem już dobrze podmożeni i zmarnieci, chce się zapa-
lić papierosa, ale nie wolno.

Tak mija chłuba z godziną.

— Nie ma co czekać, chodźmy spać, wykluczone, żeby przy-
leciał na taki psi czas.

Henri jest uparty.

— Jak powiedział, że przyleci, to przyleci na pewno.

— Ci lotnicy! W tych warunkach idzie spać — a oni? Jeden

ma lecieć z Anglii i tu, tu w tej czarnej nocy lądować, a drugi

wierzy święcie, że tamtet tak właśnie zrobi.

Nie miał ci się, napoleonej jednostajnym śpiemem deszczu.

Opulam się szczerze w coraz więcej przemoczony płaszcz

i, prawie z rozczuleniem, wspominam swoje kompanie, wszyscy

jak się chowali przed deszczem pod Falkenbergiem, poczuwając

wszyscy...

Nagle Henri, którego sylwetkę o krok ode mnie, ledwo wi-
dzę, chwytam mnie za ramię.

— Jesteś!

— Gdzie?

— Na ziemi! — wpada na mnie całą siłą i obydwa walimy

się na trawę.

Padając na znak, widzę przez ułamek sekundy, na czarnym
tle nieba, czarnej jeszcze sylwetki małego samolotu, który
jak duch bezszaleśnie spływa wprost na nas — jest tuż, tuż —
widzimy się w ziemi, zaważ zwałam nam się na głowę. Ale czarny,
z chmur chłuba i z nocy zrobiony kształt przelatuje nad nami
i muska nas, prawie drażniąc rozstawionymi pazurami pod-
wozia.

Zrywamy się, Henri wymachuje swoimi dwiema lataarkami
jakimiś żygalki w powietrzu. Jednocześnie gdzieś w oddali migają
żygalki podobne światła pomocników. Biegniemy w kie-
runku, gdzie zniknęła zjawia. Dopiero na kilka kilometrów słuszę
ciężki warkot motoru i widzę jeszcze jeszcze po trawie sylwetkę
maszyn.

Zatrzymuje się wreszcie. Dobiegamy. Wygląda jak żywy, nie-
wielki samolot, drżący i złyżany po locie. Światło lataarki
Dercourta pada na kadłub i raptem widzę wyraźnie kolorowe
kółka — to znak angielski.

Wiedziałem przecież, że ma być angielski samolot, byłam
na to przygotowany, a jednak doznałem gwałtownego uczucia
zaskoczenia. Jak to możliwe? Tu w głębi Francji, gdzie wszech-
władnie rozpięła się buta niemiecka, gdzie tysiące ludzi dysze
wściekłością rozwarły paszczę w niebo, a na nim panują nie-
podzielnie wrogi skrzydła, gdzie w każdym zakątku roi się od
złienawionych mundurow?

— Siadaj! — krzyczy mi w ucho Henri.

Chwytam rękoma metalowe, śliskie i mokre prety drabinki

uniesionej na kadłubie, nogę, cholera, nie chce się zwinąć, sil-
na ręka podsuwa mnie do góry i wypadam wypust głową na dół

do otwartej luki. Widzę nad sobą iskierkę się oczy i rozciągają

czupryny Dercourta, ścisła mnie za szyję.

— En route!

Siadam na jakiejś skrzynce i zasuwam nad sobą oszklony

daszek. Głowa Dercourta znika z pola widzenia. W ciszę nocy

wrywa się potężny huk motoru. Pamiętam dobrze instrukcję:

Z lewej strony widać słuchawki nakładam je na uszy, płacze się

coś przy nich na sznurze — to mikrofon, biorę go do ręki.

Huk motoru wzmaga się i rozszedza kabine — stalowy żuk

zamiatą ogniem, zawraca i zaczyna toczyć się po nierównym łą-
cie, czuję jak potyka się i podskakuje, i raptem zaczyna płynąć

również i gładko — jest już w powietrzu.

Oszklony dach kabiny pozwala szeroko objąć wzrokiem hory-
zont. Robi się jakoby jaśniejszy, poprzez zaszklone chmury prze-
błyskują chłubiłami słońca, zielone reflektory.

Instrukcja, która przed odlotem nabiła mi w głowę Henri,

każąc aby każdy zasuwany reflektor, samolot lub ogień arty-
lerii mawiał pilotowi. Jestem połączony z nim słuchawkami

i mikrofon mam w ręku. Siedzę tyłem do kierunku lotu i mam

pod obserwacją uciekający teren. W dole rozróżniam skupiska
zabudowań. Jestem zdziwiony, że nie jest tu tak czarno jak na
ziemi. Wyraźnie widać gdzieś zielone, że zaciemnione okno.
Chwilami zapada nagle ciemność zupełna — to chmura, przez
którą rwy stalowy żuk. W dole pod nami przepływa jakieś duże
miasto. Lecimy tak nisko, że widzę polskijaki, mokry od desz-
czu krząć na wieży kościoła.

Mam wielką ochotę krzyknąć do mikrofonu, żeby wyżej, jak
najwyżej, tam bezpiecznie, ale instrukcja — tylko mowić o
strzeżeniu. Pociągamy się, że za chwilę pojedziemy w górę, opę-
dam się od koszarnej myśli, że coś temu przeszkadza. Może
tak trzeba? A może coś nawala?

Odwra minie od tych strachu nagły czerwony refleks z le-
wej. To rakietka. Zakreśla jarzącą parabolę, za nią druga i jesz-
cze kilka. Wolam do mikrofonu poprzez wycie motoru.

— All right — słyszę spokojny głos w słuchawkach. Tak jak
gdyby w słuchawce telefonu głos przyjaciela. — „Właśnie zapa-
lam fajkę, wszystko w porządku, już spać”. — Taki własnie
głos, co to spokojnie fajkę zapala i nie nie dzieje się takiego,
co by nawet zapalając zgasić mogło. To coś z tego, że idziemy

nisko — tak właśnie ma być, tak jest dobrze. Wierzę teraz już
wzgardliwie spoglądam na rakietki, które, zresztą, gasną już
daleko za nami. Zaczynam czuć się pasażerem i z zacięciem
wypatruję kłopoty lecimy, ale trasy nie mogę rozpoznać. Cze-
kam na brzeg morza, to już ostatni deszcz emocji — później
Anglia, gdzie będą na prawdę wolny.

Motor gra równo pełnymi płucami i każe mieć do siebie za-
ufanie. Nie się nie dzieje. Na chwilę wychynął niski księżyc i za-
grat niebieskimi blaskami na sterach. Lot trwa...

Mijają liczne minuty, zaczyna być trochę nudno. I naraz
w dole ucieka mi spod maszyn wiatyki, długi, biały sznu-
czek — to brzeg, za nim czarniejsza od ziemi płaszczyzna mo-
rza. Najgorzej już minęło — najgorzej to wybrzeże, tam arty-
leria czuwa, ale już przeszkociliśmy ją i teraz będziemy szli nad
morzem — tu już nie nie grozi.

Ale co to? Zaczynamy wirać na lewo i schodzimy niżej. Bia-
ły sznuerek jest tak blisko, że nieomal mogę go dosięgnąć rę-
ką. Lecimy wzdłuż niego. Teraz się dopiero zacznie! Teraz mu-
szę do nas strzelać! Czekam bliskim ogni działowych, ale zno-
w — nie się nie dzieje.

Minuty wloką się jak wielki, strach przyciska mi nos do szy-
by, ale motor śpiewa. — „Nie bój się, nie, dobrze jest”.

Mija tak pewno że dwadzieścia tych długich i mocno nie-
miłych minut i horyzont gwałtownie zatacza jakiś nieprawdo-
podobny łuk — podwaja się, poraża, przeraża i przeraża — pniemy
się w niebo. Oddala się ziemia, zacierając się o niepojęte, do-
tąd widoczne fragmenty, idziemy wyżej, wyżej.

W dole zostaje czarna, coraz czarniejsza noc, a my idziemy
ku bielejącej poświacie Zamykam oczy, w mózgu, w mięśniach,
w żyłach czuję odprężenie, koniec grozy napięcia, koniec niebez-
pieczeństwa.

To samo czuje motor, bo też i zwałnia obroty, kończy swój
bojowy wysiłek.

W dole zapalają się światła angielskiego lotniska — dwa dłu-
gie rzędy żółtych, białych.

Samolot dotyka kołami gładkiej powierzchni asfaltu.

K o n i e c .

ZBRODNI KATYŃSKA W ŚWIELE
DOKUMENTÓW

z przedmową gen. WŁADYSŁAWA ANDERSA

Stron 464 w tym 60 ilustracji

Cena 12 sh 6 d

Do nabycia za przesłaniem należności pocztą
w GRYF PUBLICATIONS LTD.

59/61 HATTON GARDEN LONDON E. C. 1.

096a

K U L T U R A Nr. 11

Ukazał się nowy numer największego polskiego miesięcznika literacko-kulturalnego
na obczyźnie, zawierający bogaty wybór szkiców, opowiadań i sprawozdań najwy-
bitniejszych autorów polskich i obcych:

Numer zawiera:

EMTE — Druga wojna światowa i perspektywy na przyszłość WOJCIECH ZALESKI
— Wspomnienia wrocławskie, GEORGES BERNANOS — Autobiografia, JÓZEF
URSYN — MAREK SIENNY — O Bernanosie, WIT TARNAWSKI — Dzieje Naleckich,
STEFAN KORBONSKI — Wspomnienia ostatniego Delegata Rządu na Kraj, Gen.
KAZIMIERZ SOSNOKOWSKI — Rozkaz z okazji Powstania Warszawskiego, TADEUSZ
ZAWADZKI — „Burza” na ziemiach polskich, ARKUSZ POETYCKI, RECENZ-
JIE Z KSIĄŻEK, KRONIKA KULTURALNA, BIBLIOGRAFIA.

Cena pojedynczego egzemplarza wynosi:

w W. Brytanii — 3 sh; we Francji — 90 frs.

PRENUMERATA ROCZNA:

w W. Brytanii — £1.10.—; we Francji — 800 frs.

PRZEDSTAWICIELSTWA:

w W. Brytanii: „GRYF” Publications Ltd., 59/61 Hatton Garden, London, E.C.1.

we Francji: Librairie „L'IBELLE”, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IXe.

0132a

POSZUKIWANIA RODZIN

MANSCHA Ludwika, urodz. w 1898 r.,
artykuł ze Starebielska w latach 1939 — 1940,
poszukuje matka Laura Mansch, 48 Cran-
ley Gardens, London S.W. 7.

0131a

UWAGA,
WYJEŻDZAJĄCY DO
POŁUDNIOWEJ AFRYKI

Z powodu rozwiązania spółki oczywiście
do nabycia, jakiegokolwiek czasu, a na
nowoczesną zmodernizowaną farmę
rolniczą — hodowlaną w najbardziej do-
europejskich warunkach klimatycznych
zbliznioną okolicy.

Polożona przy głównej szosie Johannesburg-
Durban, trzy mile od stacji ko-
lejowej i 4 mile od miasta. Szescio-
kojowy, umeblovany z gorącą i zimną
wodą dom mieszkalny. Pięć mil brzo-
wa rzeki na farmie. Woda do picia i dla
bydła. Wspaniałe zabudowania gospo-
darze. Zarobkowa obora 130 głów. Za-
rodowa chlewnia 150 sztuk. Owce, wo-
ły, konie i t.p. Kompletny zespół ma-
szyn i narzędzi rolniczych w doskona-
nym stanie, w tym dwa traktory. Wy-
szkoleni robotnicy.

Miesięczny wpływ około £ 500., — ze
sprzedaży mleka i nierogacizny, nieza-
leżnie od wpływów z uprawy zbóż i pa-
szy. Prawa kopalinowe należą do właścicieli.

Idealny warsztat pracy dla jednostki lub
zespołu startującego w nowym kraju.
Zorganizowane i prosperujące gospodar-
stwo rolno-hodowlane wymagające tylko
nadzoru białego i czarnym. Szczę-
góło na żądanie po polsku pod adresem:
Maremont Stud Farm P.O. Box 37, Stan-
derton T.F. South Africa. 0100

LOTNICO DO POLSKI

NYLON, fully fashioned, para 15 sh.
WATERMAN, wieczne pióro 30 sh.

HASKOBA LTD.,

25, REDCLIFFE SQUARE, LONDON S.W.16

0102

FUTRA I SKORKI BEZ KUPONÓW

I ZA POŁOWE! ceny wysyłane do POL-
SKI lub innych krajów. Zalatwny
wszelkie formalności związane z wy-
syłką.

LANGER & CO. LTD.

1, Notting Hill Gate, London W.11.

Tel: HAY 3773

0101

HOTEL POLSKI I RESTAURACJA

bliżko Inspektoratu i Komendantów
FAIRFAX HOUSE, 117, Cromwell Road,
London, S.W. 7. Tel: FROBISHER 7198

(Kolejka: „GloUCESTER Road”)

Ceny przystępne. 0140

LEON SZELĄGOWSKI

doktor praw

Tłumacz przysięgły przy Najw. Sądzie

Francuskim.

3 rue Debruisse, Paris 16

Metro: Alma Marceau

Tel COPerline 47 - 64

TŁUMACZENIA URZĘDOWE

07b

UCZCIE NIE ANGLIJSKIEGO

I JEZYKÓW TERAZ

Kursy od 9 rano do 10 wieczór bez wa-
kacji świątecznych

THE LONDON SCHOOL OF

LANGUAGES

319, Oxford Street, W. 1. MAY 2120

Specjalne kursy hiszpańskiego i por-
tugańskiego dla wyjeżdżających do Pld.

Ameryki. 071

MIGAWKI

SWÓJ O SWOIM

W komunistycznym dwumiesięczniku „La
Pensee”, wychodzącym w Paryżu, niejaką
pani Jeanne Gaillardier o książkę Louis
Brunata „Polgone d'hier et d'aujourd'hui”
(Polska wczorajsza i dzisiejsza):

„Pan Brunat pokazuje nam republikę lud-
ową, daleką od naśladowania obcych wzor-
ów, jak to się zwykło często przypuszczać,
oraz jej instytucje zgodne z własnym his-
torycznym rozwojem Polski... Dekret o
parcelacji wielkich majątków realizuje od-
wrotne pragnienia chłopów, którym zie-
mia nareszcie zostaje zwrócona. Chciało by
się wiedzieć, dlaczego własność kościelna
nie została podzielona, ale p. B., który dla
opisania całej historii Polski rozporządza
250. stronicami, wiele zagadnień musi
pozostawić domysłowi czytelników. Krótki,
ale oparty na zasadniczej wagi dokumen-
tach, rozdział o „polskiej opozycji” wien-
czy całe dzieło. Trudno jest uważać Ande-
rca et consortes za ostatnich obrońców wol-
ności przeciw dyktaturze. Są oni jedynie
przedstawicielami zafascynowanej kasty, wpe-
dzonej w ślepy zaulek terroryzmu i po-
płeczniczymi zagranicą”.

Nie wiadomo z jakich powodów p. Bru-
nat musiał zadowolić się 250 stronicami,
które H. G. Wellsowi np. wystarczyło do
napisania całej pracy „Historii świata”.
Gdyby udało się wkleść jeszcze ze dwie
kartki, pragnęlibyśmy szerszego potraktowa-
nia tak zasadniczego zagadnienia jak to,
czy autorzy tak napisane propagandowe
broшуry zaplacono w rublach, złotych czy
może francuskich frankach, No i oczywiście
— ile?

HISTORIA NA WESOŁO

Swajcarski miesięcznik „Vic. Art. Cité”
zamieszcza poważny artykuł p. N. Pri-
elaida, w którym autor nie bez poczucia hu-
moru pisze o dziejach Litwy:

„Wielki książę Vytautas położył koniec
religijnemu terrorowi krzyżowców, z po-
mocy Polski. W roku 1410 koło Zalgirisza
pewnie dźwignął cios Zakonu i za-
p